

GABRIELA ZAPOLSKA

 SAGA
EGMONT



Małaszka

GABRIELA ZAPOLSKA

 SAGA
EGMONT

Małaszka

Gabriela Zapolska

Małazka

Saga

Małazka

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright © 1922, 2020 Gabriela Zapolska i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726426632

1. Wydanie w formie e-booka, 2020

Format: EPUB 2.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą SAGA Egmont oraz autora.

SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

Usiadła sobie na płocie.

Wiatr igrał z jej spódniczką, odsłaniając nagie, brudne kolana.

Bosymi piętami uderzała takt piosenki, a ręce złożyła bezwiednie, jak do modlitwy.

Ładna była mimo brudu, kurzu i włosów dawno nieczesanych.

Oczy jej szare, ocienione długimi rzęsami patrzyły na świat badawczo, niespokojnie jakoś.

W oczach tego chłopskiego dziewczęcia migwały chwilami jakieś zielonawe ogniki.

Tryskała z nich ciekawość i żądza nieznanego.

Usta uśmiechały się na wpół bezmyślnie, na wpół zmysłowo; spadek ramion i zarys bioder, jakkolwiek znaczony ostrymi konturami, obiecywał w przyszłości klasyczne prawie kształty.

Nogi ma tylko niekształtne, duże, czerwone; pięty poranione o przydrożne osty i ciernie — za to już nad kostką zarysowuje się silna, choć smukła linia, która mogłaby służyć za model sztucznej łydki niejednej tancerce.

Dokoła cisza, spokój wielki, chwilami tylko przerywany odgłosem dzwonek lub nawoływaniem pastuchów.

Był to wieczór letni, pełen woni i blasków zachodzącego słońca.

Wspaniałe purpurowe promienie ślizgały się po słomianych strzechach niskich, zapadłych w ziemię chatek, ozłacały drżące liście grusz i dzikich śliwek.

Mała dziewczyna siedząca na płocie, zdawała się kąpać w tych ognistych blaskach.

Kosmyki jasnych włosów, wysuwające się z krasnej chuściny, połyskiwały niby szczere złoto i tworzyły nad opalonym czołem delikatną aureolę. Jeden z purpurowych promieni owinał wkoło ramiona dziewczyny; czerwony,

wąski pasek słoneczny znaczył również wzdłuż bioder
Hogartowską węzową linię...

Ciemne tło lasu, opasującego dokoła wioskę, przecinało
horyzont, poza ten las zapadała ognista kula wielka,
wspaniale ścieląc swój płaszcz królewski.

Ponad błotnistą drogą na wzgórku nieforemny Chrystus
na krzyżu wyciągał drewniane ramiona.

U stóp jego zawiązana dziecięca koszulka świadczyła o
pobożności mieszkańców wioszczyny.

Była to gorąca prośba matki o życie dziecięcia.

Ileż łez gorzkich zmoczyło tę zgrzebną, grubą koszulinę,
zaciśniętą rozpaczliwym węzłem naokoło krzyża!
Dziewczyna siedząca na płocie przestała wybijać takt
piętami i z wolna zapadła w zadumę.

Od strony wioski dolatywał odgłos znanej piosenki:

„U susida chata biła...” Jakiś domorośły artysta grał pod
lasem, a rzewne drżące tony płynęły w dal i zdawały się
skarżyć, płakać...

Dziewczyna powoli spuściła głowę i wpatrzyła się w
ziemię.

Słońce zaszło zupełnie.

Ciemny las zdawał się pochłaniać resztki dogasających
promieni.

Promienie cofały się drżące i jakby zawstydzone na
zachód.

„A u mene sirotynki Ani szcztastja, ni chatynki...” Mówiły
słowa piosenki, której nuta dźwięczała w powietrzu.

Małaszka, odwróciła głowę.

— To Julek — szepnęła — sierota!

W szepcie tym była jakaś litość ukryta.

Po chwili na drodze od lasu ukazała się postać młodego,
bo zaledwie piętnastoletniego wyrostka. Miał na sobie
surducik czarny z wytartymi łokciami i wysokie,
wykrzywione buty.

W rękę trzymał fujarkę i idąc, przygrywał.

Ciemne włosy spadały mu na czoło; cudownie piękne, błyszczące oczy patrzyły chmurnie i ponuro przed siebie.

Jakaś nieokreślona tęsknota, ból tłumiony wiał z tej pochylonej, chłopięcej postaci. Mimo podartego surduta, mimo dziurawych butów, ciekawość kazała odwracać głowę i nie zapominać tego dziwnego wyrazu twarzy.

Chłopak miał rysy regularne, posągowe niemal.

Między brwiami zarysowana zmarszczka i te oczy, tak chmurne jak noc bezgwiazdzista świadczyły o jakimś bólu i smutku, co trawił tę młodą a przedwcześnie zniszczoną istotę.

Powoli przestał grać i wsunawszy fujarkę w zanadrze szedł niezgrabnym, ociężałym krokiem naprzód.

Dziewczyna poprawiła się na płocie i z kokieterią pociągnęła krasną chustkę na głowie.

Pogładziła włosy i poprawiła koszulinę u szyi.

Nie zważała jednak, że spódnica zagięta nad kolanem, ukazuje całą jej nagą nogę i brudne, czerwone kolano.

Chłopiec szedł dalej, nie widząc tej niemytej Dalili, uczepionej na chruścianym płocie.

Przechodzić jednak tędy musiał.

— Julku! — zawołała Małaszka. Stanął i obejrzał się.

— Ach! to ty! — wyrzekł wolno — znów brudna i obdarta, co robisz na tym płocie?

Głos jego brzmiał dźwięcznie i czysto. Małaszka pokraśniała nagle.

— Myłam się w sobotę — tłumaczyła półgłosem.

— Tak! a dziś wtorek — odrzekł Julek. — Wstydź się... i chcesz, żebym cię zaprowadził do dworu i pokoje pokazał.

Stał tak naprzeciw niej i patrzył wprost na jej czarne i pokaleczone nogi.

— Nie mam butynek, wiesz przecie — szeptała Małaszka.

Ale Julek nie słuchał — wzrok jego rozmarzony błakał się po ciemniejącym niebie, ślizgał się po ciemnej linii lasu, aż na koniec spoczął na głowie dziewczyny. Małaszka patrzyła także w twarz jego.

Oczy dwojga dzieci spotkały się.

I mimowolnym, bezwiednym ruchem wyciągnęli oni ku sobie ręce.

Jasna głowa Małaszki spoczęła na wytartym surducie Julka.

On objął ją spokojnie ojcowskim jakimś ujęciem.

Oczy jego zaszyły tylko mgłą wilgotną i jeszcze pociemniały — był spokojny, cichy, smutny jak powierzchnia morskiej głębin.

Ona — przeciwnie, tuliła się doń namiętnie, drżąc dziwnym, gorączkowym dreszczem.

Zdawało się, że każdy nerw twarzy drży osobno, że po żyłach tego dziecięcego niemal ciała biegnie jakiś strumień gorący, który zapala w jej oczach te dwa niepoczciwe ognie, płonące w jej źrenicach.

Czternastoletnie dziewczę zmieniło się w objęciu chłopca na zmysłową, namiętą kobietę.

Ruchami kotki ocierała twarzyczkę swoją o ramię chłopaka — jedna ręka nerwowym ruchem plątała jego ciemne włosy.

Cicho było dokoła.

Na ziemię zdawała się spadać czarna krepowa zasłona.

Noc zarzucała swój welon i szła wolno jak kochanka, którą codzienne schadzki znużyły.

Mrok ten owijał i dwie młodzieńcze postacie, stojące przy sobie w milczeniu, a przytulone jak dwie młode brzozy, którym Bóg kazał wiecznie rosnać przy sobie. Na koniec Julek pierwszy ocknął się z tej miłosnej zadumy.

— Czas mi iść do dworu — wyszeptał, odwracając z niechęcią głowę w stronę, gdzie między drzewami bieleły

dwie wysokie wieżyczki o spiczastych dachach.

Małaszka żywo podniosła oczy.

— Do dworu! — powtórzyła — a co ty tam będziesz robił teraz?

Po ustach chłopca przewinął się uśmiech smutny, gorzki — dziwny jakiś.

— Muszę zmywać szklanki i przynosić z kuchni półmiski do kolacji — wyrzekł, pochylając głowę.

Ale po chwili wyprostował się i odrzucił w tył spadające włosy.

— Och! Małaszko! Małaszko! — zaczął znowu, a oczy jego ożywiały się stopniowo i głęboka bruzda, wryta między brwiami znikła jak pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki — jaka ty szczęśliwa! Ty możesz cały dzień latać po polu i chodzić do boru, gdzie takie wysokie choiny sięgają aż w niebo... Co by ja za to dał, żeby i mnie wolno było siedzieć tam daleko, w ciemnym borze, wiesz, tam koło mogiły wisielca, taj grać, grać... a potem dumać.

Urwał i wyprostował się — pierś jego zdawała się rosnać i przepełniać tą tęsknotą swobody, która go trawiła.

Wytarte nitki dworskiego surducika pękały z suchym trzaskiem pod tym nagłym, nerwowym ruchem, którym rozszerzały się ramiona chłopca.

Małaszka patrzyła nań zdziwionymi oczyma.

— Koło mogiły wisielaka? ta tam straszy, Julku... w nocy tak jęczy, taj płacze...

— Głupia ty! — odparł Julek — to bór szumi i sosny grają. Ach! jak grają precudnie! Nad mogiłą jęczy sowa, pewnie dusza wisielaka, a wkoło ciemno, choć oczy wypatrz, nic nie widzisz. A tylko nad tobą niebo i gwiazdy błyszczą, a taka ich moc wielka a takie jasne i czyste...

Małaszka machnęła ręką.

— Ja by wolą być we dworze, tam takie jasne świece jak w cerkwi, a ściany malowane złotem! Widziałam przez